



O

N

E

Nigdzie nie ma silniejszych kobiet niż tutaj. Z całym szacunkiem dla całej reszty świata. Uważam to za rzecz najmniejszą z pewnych. Jedną z podstawowych prawd o konstrukcji życia, jaką udało mi się samodzielnie wyłapać w zalewie zbytecznych nauk i przekazów, jest ta, która podkreśla rolę babki, matki i żony jako ostoji i lepidła trzymającego cały ten pierdolnik naszego dziwnego życia w kupie. Tyle. I aż tyle. One mają to w genach. Są pomnikiem ponadczasowego porządku i zasad, którymi trzeba się kierować, starając się dzielić świat z jedną z nich. Są silne, niezależne i mądre – zupełnie inne niż ten zardzewiały stereotyp, o który często się potykamy. Mogą być twoim najlepszym przyjacielem,

a po pięciu minutach wydawać ci się największym wrogiem. To nie huśtawka nastrojów ani jakakolwiek inna bzdura, która sprowadzałaby ich zachowania do poziomu fanaberii czy wahań hormonalnych. Gdy po czasie spojrzysz na to z dystansu, na chłodno, dostrzeżesz w tym działanie w obronie tej małej części uniwersum, którą mają pod opieką.

Autodestrukcja to najpowszechniejsza forma degradacji człowieka. Co gorsza, w miejscach, w których przyszło mi uczyć się życia, była przez moje otoczenie traktowana dość poważnie, a wręcz jako swego rodzaju religia. Kochałem się po prostu upierdalać do ziemi, uwalać, upijać, szlajać, nocować na podłogach u kolegów, którzy kochali to tak bardzo jak ja. Byłem zaślepiony – coraz pewniej stawiane kroki na muzycznej drodze powodowały jednocześnie coraz większą i dłuższą „najbę”. Jedyne, co samemu w tym wszystkim zdołałem dobrze ogarnąć, to to, że nigdy nie łapałem

się używek wymagających czegoś więcej niż sklepu z alkoholem. To tyle z moich osiągnięć w temacie trzymania siebie w ryzach. Reszta to jej zasługa.

Człowiek pije, żeby się odciąć albo otworzyć. Mnie to otwierało. Nie miałem problemów, od których chciałem uciec. Lubiłem i akceptowałem (w większości) moje życie, które z niezrozumiałych powodów co chwilę musiałem w jakiś sposób niszczyć. W ciągu dnia chciałem być najlepszym chłopakiem świata, w nocy, kiedy zostawałem bez niej, dążyłem w całkowicie odwrotnym kierunku. Wydawało mi się, że wszystko, co zawałam i psuję tym moim „poetyckim upadaniem”, da się wytłumaczyć potrzebą obecności w moim artystycznym żywocie samego faktu upadania. Nie napiszę nic na trzeźwo, a jeśli napiszę, to słabo, zagram sztywno, bez luzu, będę się męczyć... Byłem grubym pijakiem amatorem z debilnymi wymówkami na wytłumaczenie tej żenującej sytuacji.

Jest obok mnie ponad dwanaście lat. Wydaje mi się, że przynajmniej połowę tego czasu mocno pracowałem na to, by jej obok nie było. Żeby zwątpiła w sens wierzenia mi i wierzenia we mnie. A ona zawsze była taka sama. Nie tolerowała tego mojego upodlania się, widocznie wcześniej dostrzegła we mnie to, co potem pomogła mi odnaleźć. Ta pięćdziesięciokilogramowa postać ma więcej siły niż ktokolwiek inny, kogo dane mi było spotkać w życiu. Przez cały ten czas dźwigała to wszystko, co „udało” mi się przynieść do naszego domu. Potrafiła sprawić, że nagle zacząłem wyglądać i zachowywać się jak człowiek. Potraktowałem wreszcie poważnie to, czym się zajmuję do teraz. Jej troska pozwoliła mi poświęcić się temu, co robię – i w końcu zaczęliśmy odczuwać tego skutki. Nauczyła mnie, że mam prawo być, kim chcę, że nie muszę udawać. A kiedy już dotarło do mnie, że nikt nie chce dla nas lepiej niż ona, ułożyła wszystko, co zawsze mnie przerażało, w logiczną całość.

Nasze babcie i matki przez większą część życia budowały domy pełne miłości i ciepła w okolicznościach, można by rzec, mocno niesprzyjających. Czekwały na swoich facetów, dźwigały z nimi ich problemy, ich strach. A do tego wszystkiego musiały poradzić sobie z tym, co rosło w nich samych. Ona dźwiga równie dużo – cały nasz świat, z całą jego złożonością i specyfiką, niepewnym jutrem i rozregulowaniem normalności. Nasze prawie trzynaście lat w połowie nieco zniszczone przez moje. I teraz znowu nie ma mnie obok. Już nie uciekam po to, żeby się zniszczyć. Gdzieś w pociągu albo busie oglądam zdjęcia naszej córki, które przed chwilą mi wysłała. Zaraz wracam.

Czekasz na mnie w domu trzeci rok,
Dwa więcej, niż ma Kora.
Pamiętam twoich kilka snów o demonach i
Jeszcze z kilkoma chyba muszę się uporać.
Czuję złość, gdy ucieka mi kolejna wspólna „pół-noc”,
Zrozumiemy to wszystko, gdy już będzie za późno.
Na próżno szukam czegoś, co mnie w końcu złapie mocniej
Niż ból, co łamie wpół, gdy znów próbuję to podnieść.
Mówili mi: „Jakie to proste.
Jak pięknie jest żyć drogą między datami”,
A nie dali mi pomysłów, jak cokolwiek tu utrwalić,
Gdy pół świata od siebie znów osobno zasypiamy.
Ponoć mam wiele zbyt, żeby nagle nie mieć nic.
Na pamięć znam całą tę twórczą chemię
I to krótkie ręk drżenie, gdy mogę oddać im wszystko.
Muszę dalej iść – to moja powinność.

Słowo po słowie obce dłonie mnie przyniosły tutaj,
We własnych niosę gruz dawnego świata.
Jestem im winny to, muszę wciąż szukać.
Tworzą nas chwile, w których byłem.
Zbyt często do nich wracasz.
Urodziliśmy się w naszych czasach, w moje dni
I jak nikt chciałem żyć, jak żaden wcześniej z nas.
Na początku drogi tyle w sobie miałem sił,
Gdy inni tylko upór mieli, żeby trwać...
Zza fasad podziałów brałem, co rzucał wiatr,
Bez patrzenia na to, ile byłem w stanie temu dać.
Ciągle nie wiem, czemu kiedykolwiek zaufałaś nam.
Tyle, ile niosę tobie, tyle jestem wart.
Pomiędzy tysiącami barw światłał miast
Miałem czas, żeby zmienić chociaż jedną z nich.
Tylko ty rzucasz cień albo dajesz blask...
Muszę oddać, co dostałem – z niczego nie ma nic.

ROK

1

Minął rok. Bałem się. O wiele rzeczy. Nic dziwnego.

W otoczeniu bywało różnie. Wyobrażałem sobie rozmaite scenariusze, ale żaden z nich nie pasował do dotychczasowego mikroświata, który udało nam się stworzyć. Jego charakter totalnie odstawał od tego, co obserwowałem w otoczeniu, wśród młodych rodziców. Nie umiałem sobie do tych schematów dopasować naszego specyficznego trybu dnia, długich,

ale spokojnych nocy, częstych ucieczek poza cztery ściany. Widziałem, jak mniej kolorowe i skomplikowane układy padały pod naporem nowego porządku i zasad narzuconych bezpardonowo przez małą istotę. Obserwowałem, jak pozornie idealne relacje dwojga ludzi, budowane przez lata, zaczynają rdzewieć i pękać. Jak faceci unikają domu, a kobiety rozmowy. Jak ludzie, zamiast zbliżać się do siebie dzięki temu, co nowe, uciekają. Najdalej, jak tylko się da. Oczywiście to nie reguła. Człowiek jednak skonstruowany jest w sposób, który nakazuje mu martwić się o najmniej prawdopodobną z możliwości. Przynajmniej ja taki jestem.

Mam szczęście. To wiem już od dawna. Jednak rok temu okazało się, że mam go naprawdę sporo. Nowy człowiek, którego ojcem przyszło mi być, przyniósł ze sobą na ten świat masę poważnych obowiązków, małych problemów, nowych wyzwań. Tego ostatniego najwięcej. Rekonfigurował moje myślenie w kilku

kwestiach, zmienił niektóre obszary mojego życia. Nie od razu mu się udało. To proces, który wciąż trwa. Coraz odważniej mu się poddaję. To dziwne, jak wiele roczna istota potrafi nauczyć. Nawet trzydziestoparoletniego egocentryka. Śmieszne, że nie umie jeszcze mówić, a umie tak wiele wytłumaczyć.

Wiem, że zabrzmiało to dosyć dziwnie, szczególnie w czasach, kiedy kult bycia rodzicem jest rozdmuchany do granic możliwości, ale dla mnie najważniejszym, co przyniósł pierwszy rok życia mojej córki, jest wszystko to, co dzieje się między jej rodzicami. Sandrze udało się rzecz najtrudniejsza – nie pozwoliła zniknąć nam dwojgu. Ja nie mam powodów uciekać, nie chcę. Ona nie przestała mnie zauważać. Chyba nawet częściej sponad łóżeczka naszej córki wypatrujemy siebie. Każda chwila tylko we dwoje, minimalny relikwiarz przeszłych dwunastu lat, jest czymś wyjątkowym. Bez udawanych randek, wyjść na imprezy w stylu #mamamawy-

chodne i całej reszty socialmediowego opakowania rodzicielstwa. Zwyczajność. To, co nas ukształtowało, wciąż istnieje, bez podkolorowywania rzeczywistości, dodawania emocji i tak dalej. Nawet przez moment nasz świat nie zbliżył się do takiego, jakiego obawiałem się najbardziej, zanim pojawiła się Kora. Nie wywróciła go do góry nogami. Stała się jego brakującą częścią.

Przez ten pierwszy rok udało mi się poczuć dobrze w roli ojca. Nie odbiło mi. Nie stałem na głowie, żeby przebudować świat tak, by moja córka za kilkanaście lat zasiadła na tronie. Nie ma na to szans. Teraz już wiem, że damy radę po prostu wszystko dobrze ułożyć. A stanie się tak, jeśli będzie dobrze między nami dwojgiem. Wierzę w to, bo przez ten rok nie tylko zyskaliśmy nowego przyjaciela, ale przede wszystkim przyjaźń między nami się wzmocniła.

